

Historia życiem pisana (cz.2/2)

Powiat wrzesiński aktywnie zaangażował się w działania upamiętniające setną rocznicę powstania wielkopolskiego. Tym razem w „Przeglądzie Powiatowym” publikujemy tekst przygotowany przez badacza lokalnej historii i znanego regionalistę Michała Pawelczyka. Jest on poświęcony pamięci związanego z naszym powiatem powstańca wielkopolskiego Władysława Kubiaka. Drukujemy również wyjątkowy historyczny materiał: wspomnienia samego Władysława Kubiaka – w poprzednim numerze spisane w roku 1963, zaś w tym zapiski z 1958. Zostały one opracowane przez Michała Pawelczyka. Są to fragmenty jego przygotowywanej książki Wspomnienia wrzesińskich powstańców.

Wspomnienia o Powstaniu Wielkopolskim 1918-1919 r.

Miedzy potomkami Bartków -Zwycięzców, znalazłem się i ja, jako 18-letni młodzieniec w wojsku niemieckim i wojnie światowej 1914-1918 w walce przeciw Francuzom. Tak samo było mi żal Francuzów i Francji, przystani i opieki z jakiej korzystali polscy uchodźcy w czasie zaboru, oraz schorowanej matki, wdowy, której byłem dorastającą podporą, jak Bartkowi Słowikowi, ze wsi Pogńebin byłego Księstwa Poznańskiego [Bartek zwycięzca – nowela Henryka Sienkiewicza, której akcja toczy się w II połowie XIX wieku, a główny bohater, Bartek Słowik jest chłopem ze wsi Pogńebin w Wielkopolsce].

Taka już była dola ludu wielkopolskiego pod zaborem pruskim. W pierwszej połowie czerwca 1918 roku razem z innymi rówieśnikami – zaborca pruski zabrał i wcielił do rozpadającej się armii jako ostatnią nadzieję „letzte Hoffnung”, i po krótkim przeszkoleniu wysłał na front do Francji. Jednak okazaliśmy się mniej bitni za obcą sprawę od Bartka z Pogńebina – Wylus wojnę przegrał i uciekł do Holandii, a w tej ocenie nie znajdzie się przesady. Mimo ucisku i nacisku germańskiego, prześladowani w szkole i kościele oraz innych orientacji społecznych i politycznych – duch Drzymały drzymał, rósł i pęczniał w umysłach gnębiętego ludu w oczekiwaniu na chwilę buntu o wyzwolenie z niewoli. Podtrzymywanie ducha narodowego Polaków w przeszło wiekowej niewoli było zasługą ujarzmionych zstępujących pokoleń, które przekazywały w testamencie hasła wolnościowe, aż doszły do naszych czasów.

Przypominają mi się chwile, kiedy prowadziliśmy dyskusję na ten temat w wojsku z kolegami: Kazimierzem Gawłem, Janem Bogusiem, Romanem Kamzelą i wielu innymi z powiatu wrzesińskiego, razem służących w 46. Pułku muszkieterów, tak zwanego Kaczmarek Regimentu [poprawnie był to Infanterie-Regiment Graf Kirchbach (1. Niederschlesisches) nr 46].

Ten ostatni, to jest Roman Kamzela, był nawet ludzako podobny do opisywanego przez Henryka Sienkiewicza Bartka Słowika, tylko z tą różnicą, że Roman (tak był nazywany przez nas i Niemców) miał duży brzuch (Kartoffelbauch) i zeza oraz biegunowe nogi. Na marginesie jest wskazane podać, że Roman z powodu zupełnej nieznajomości języka niemieckiego był przedmiotem naigrania przez Niemców. Przypominam sobie jego niemną przygodę, kiedy w czasie ćwiczeń na placu zmuszony był do załatwienia potrzeby osobistej i prosił dowódcę plutonu o wystąpienie z szeregu. Dowódca plutonu zrozumiał, o co chodzi, a na wystąpienie była konieczna zgoda wyższej rangi, pouczając Romana, iż musi się przeprosowo zameldować i mówić „bitte austreten zu dürfen”. Roman tego nie potrafił powtórzyć – dwa razy został odprawiony i kiedy odszedł po raz trzeci przez oblicze formalisty-dowódcy, który spytał „Roman was ist?” – Roman odpowiedział „schon”, i galoty były pełne.

Pewnego razu, po przebyciu 40 km marszu w odwrocie z frontu francuskiego, po zawieszeniu broni, od jakiegoś miasta w Nadrenii, chodziło nas kilku Polaków w poszukiwaniu repety i trafiłszy do kuchni polowej ciężkich karabinów maszynowych.

Wyzywaliśmy Niemców za zgotowany nam los (po polsku), za głód i poniewierkę, za wszy, które nas nieміłosiernie rąbały. Nasze przekleństwa posłyszał jakiś oficer niemiecki i myśleliśmy, że będziemy „leżeć”. Ku naszemu zdziwieniu słyszymy od tego oficera „wy Polusy”, a kiedy potwierdziliśmy, odpowiedział nam: „ja też Polus”.

Wywiązała się krótka pogawędka, oficer pytał, skąd pochodzimy, jak się czujemy, i powiedział nam, że jest dowódcą kompanii ciężkich karabinów maszynowych 46 pp i pojedziemy razem do Wrześni.

Tą rozmową zostaliśmy pokrzepieni na duchu i zamiast trwogi ogarnęła nas radość, że posiadamy sprzymierzeńca, bowiem wyczuliśmy szczerłość jego wypowiedzi.

Tym niemieckim oficerem w stopniu leutnanta [Leutnant to podporucznik] był nieodżałowanej pamięci Alojzy Nowak, bohaterski organizator i wódz Batalionu Wrzesińskiego z Powstania Wielkopolskiego, który padł śmiercią na polu chwały w 1939 roku pod Przasnyszem, z szablą w dłoni na koniu, jako dowódca 13. Pułku Piechoty Wojska Polskiego, kiedy szarżował na czołgi niemieckie w natarciu od północy na naszą stolicę – Warszawę.

Do Wrześni powróciłem transportem kolejowym 19 grudnia (czwartek) 1918 r. wraz z III Batalionem 46. Pułku „Kaczmarek”, w którego skład wchodziła również kompania ciężkich karabinów maszynowych z leutnantem Alojzym Nowakiem na czele. [według książki: Max Zuneimer – Infanterie Regiment Graf Kirchbach (1. Niederschlesisches) Nr. 46. im Weltkrieg 1914/18 Berlin, 1935, w dniu 20 grudnia wrócił sztab, II. batalion i Kompania Moździerzy, a 21 przybył I. batalion i Kompania Karabinów Maszynowych. Kierownictwo oddziału przejął major Hartung de Groote. W dniu 22 grudnia rozpoczęto demobilizację, a 26 grudnia ukradziono z magazynu 10 cekaemów.]

W przejeździe transportu przez Poznań, dowiedzieliśmy się o przybyciu do Poznania Ignacego Paderewskiego. Na dworcu Poznania panował niesamowity ruch – twarze rozanielone, ale i poważne, gwar wielki i powiemem wolności łopotąły polskie flagi. Od Poznania rozpoczęła się „robota” – z krymek połowych pozrywaliśmy bączki koloru czarno-białego, a pozostawiliśmy biało-czerwone. Z chorągiewek również oddarliśmy górną czarną kolor, wypisując już na chorągiewkach polskich odpowiednie napisy i po drodze wyrzucaliśmy

z wagonu na teren przytorowy dla przygodnych „polusów” na pokarm duchowy [wtedy nie było Paderewskiego w Poznaniu, przybył dopiero 26 grudnia 1918 roku o godz. 21.10].

Żołnierze niemieccy w wagonach obserwowali nas spode łba, byli grzeczni – czuli smród, chociaż większość była zadowolona, że będą mogli pozbyć się zmory wojny i wrócić do swych domów.

Po jednej chorągiewce o barwach narodowych zatrzymaliśmy przy sobie i po wylądowaniu z wagonów we Wrześni zatknęliśmy w wyloty luf karabinów i maszerowaliśmy do wrzesińskich koszar. Po wylądowaniu nas z wagonów zostaliśmy owacyjnie przyjęci przed dworcem przez miejscowe społeczeństwo.

Obdarowano nas kawą, piwem, bułkami, kielbasą i innymi artykułami spożywczymi, których dawno nawet nie widzieliśmy. Nie wiem, z jakiej puli to wszystko pochodziło, ale pamiętam, że wydawali: kawę jakieś paniusie, piwo Kaczmarek, bułki Drzewiecki, kielbasę Jerzykiewicz i wielu innych.

Nastroj wśród żołnierzy był dwojaki – dla Polaków radosny – dla Niemców trwożny i niepewny.

Z dworca w zwartym szyku „na odrąbione” pomaszerowaliśmy na miejsce Rynek wśród tłumu dorosłych i dziećmi na czele. Na rynku ustawiono nas w czworobok, gdzie nastąpiło oficjalne przyjęcie przez miejscowe władze z trybuny ustawionej w tym celu tuż przy figurze obrzadku katolickiego, ogrodzonej grubym łańcuchem. Przemówienia powitalne wygłosił jakiś oficer po niemiecku i Stanisław Konieczny, miejscowy aptekarz po polsku. [według innych źródeł powitanie nastąpił 21 grudnia po południu przemawiali kolejno:



Wjazd do wrzesińskich Koszar. Zdjęcie udostępnione przez Waldemara Grześkowiaka

landrat Egon von Haber, burmistrz Julius Alfred Finke, przedstawiciel Rady Robotniczo-Żołnierskiej Józef Trawiński i na końcu Stanisław Konieczny.]

Po tej ceremonii batalion [raczej oddział] odmaszerował do koszar, gdzie zostaliśmy rozlokowani w blokach, zaś tabor i różny sprzęt w Hali Gimnastycznej, gdzie również były karabiny maszynowe, wykradzione przez polskie organizacje powstańcze jeszcze przed wybuchem samego powstania.

Po przybyciu wojska niemieckiego do Wrześni dało się zauważyć silne podniecenie obu stron, to jest polskiej i niemieckiej.

Spółczesność polskie cechowała napięta wizja niepodległościowa, żywiołowo dyskutowano nad wytworzoną sytuacją w domach, na ulicy i wiecach na sali Odeonu, masowo wracali Polacy z rozpadającej się Armii Niemieckiej i zgłaszali się do organizujących się polskich sił zbrojnych. [Ukrytą formą polskich sił zbrojnych był wówczas tworzony batalion Wacht – und Sicherheitsdienst czyli Służby Straży i Bezpieczeństwa w koszarach.]

Duch zniesienia jarzma pruskiego rósł, po ulicach miasta krążyły patrole z organizacji, jak mi się przypomina, z tak zwanej służby bezpieczeństwa publicznego, co jeszcze więcej utwierdzało społeczeństwo o mających nastąpić historycznych przemianach dziejowych. Mobilizowano środki do wystąpienia zbrojnego.

Ja po rozeznaniu sytuacji i zapoznaniu się z organizacją wojskową zgłosiłem się bodaj 22 grudnia 1918 r. do baraków na terenie koszar, gdzie mieściła się polska służba bezpieczeństwa publicznego, gdzie po wymianie kilku zdań polecono mi pozostać w wojsku niemieckim, w celu obserwowania żołnierzy w ich poglądach na wytworzoną sytuację, wyciągania karabinów, amunicji do nich i co by się udało.

Od tej pory zgłaszałem się nieomal codziennie do służby wartowniczej na głównym odwachu dla wykonywania swego zadania. W służbie wartowniczej panował zupełny nieład, na wartowni była zaniedbana prawie czujność regulaminowa, zaś wartownicy przeważnie zmieniali się na kwaterach – gdzie spali zamiast stać na właściwym posterunku – sytuacja sprzyjała, więc ja i jeszcze jeden kolega, którego nazwiska nie pamiętam, wynieśliśmy nocami kilkanaście karabinów i bagnetów z pasami oraz trzy skrzynie z amunicją karabinową i oddaliśmy do baraku [to znaczy do baraku znajdującego się w miejscu dzisiejszego boiska, w którym znajdował się oddział Wacht und Sicherheitsdienst, czyli Służba Straży i Bezpieczeństwa o polskim składzie personalnym].

W okresie od przybycia do koszar do wybuchu powstania spotkała mnie następująca przygoda: pewnego dnia (ściślej daty nie pamiętam), kiedy szedłem z koszar do miasta w towarzystwie kolegi Stanisława Komosińskiego, który leżał w szpitalu koszarowym na leczeniu odniesionych ran w czasie wojny – spotkał nas na ulicy na wysokości Ogrodu Różanego dowódca 8. Kompanii Oberleutnant Heinelt. Jechał on na swoim siwku jeszcze w buńczucznej postawie junkra, okrutnie czuł się urażony, że nie oddałem jemu żołnierskiego honoru i nie byłem przepisowo ubrany.

Czapka na bakier z bączkiem biało-czerwonym, płaszcz z wylóżonymi wylogami – krzyknął w naszą stronę: „Muskietier Kubiak! kommen sie hier” [szeregowiec Kubiak, przyjdźcie tu]. Zatrzymaliśmy się na chwilę i pomału skierowałem się z rękami w kieszeni do niego na ulicę. Heinelt widząc zlekceważenie jego osoby parsknął ze złości, spytał mnie na wstępie, dlaczego nie oddaję honoru, a kiedy odpowiedziałem, że: „Die Zeit ist schon vorüber” [ten czas już się skończył] zwymyślał mnie od smarkacza i innych wyzwisk oraz powiedział mi, że przedstawi mnie do ukarania dowódcy batalionu. Dał ostrogę siwkowi i pojechał do koszar. Nazajutrz zarządził pan Heinelt zbiórkę całej kompanii w tak zwanym Kammergebäude, gdzie byliśmy zakwaterowani, wezwał mnie z szeregu przed front kompanii i ponownie parsknął i wymyślał, aż z szeregu odezwały się głosy: „Licht aus – Messer raus, Haut in” [żołnierskie powiedzenie zgaś światło nóż wylatuje i daj w skórę], ustatkował się i rozkazał kompanii rozejść się. O tej przygodzie zawiadomiłem chłopaków z baraku, upolowali go na tej samej ulicy, rozbroili go z pistoletu, dolcha [sztyletu], zerwali naramienniki ze szlifami oficerskimi, dali kilka kopniaków, a jak go puścili, poszedł jak wiatr. Spotkaliśmy się jeszcze raz oko w oko, ale już po rozbrojeniu i oprowadzaniu koszar w dniu 28 grudnia 1918 r., kiedy podszedł do mnie i mocno przeproszał za doznaną mi krzywdę, tłumacząc się nieświadomością wówczas panującej sytuacji i podając rękę na zgodę, czego odmówiłem. Rozstał się ze mną bodaj na

zawsze z zaciętymi zębami i grymasem na twarzy. Było jeszcze więcej godnych wypadków przed rozpoczęciem powstania, które wyszły mi z pamięci, a żyją u innych uczestników tych historycznych dni. Kojarząc swe wspomnienia, przypominała mi się sprawa zdzierania przez Niemców flag narodowych Polski i Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej z masztów przy Różanym Ogrodzie [re-stauracja w miejscu Wrzesińskiego Ośrodka Kultury]. Niemal codziennie rano były one ściągane przez jednostki załogi koszarowej, stąd wniosek jak się Niemcom było trudno pogodzić z raptowną przemianą dziejów Vaterlandu [ojczyzny].

Dnia 28 grudnia 1918 roku koło godziny 7-ej rano – Służba Bezpieczeństwa Publicznego [właściwie Służba Straży i Bezpieczeństwa] wystąpiła z pełną nadzieją i niezaprzeczną wolą w zwycięstwo. Z tą chwilą Służba Straży i Bezpieczeństwa stała się Wojskiem Polskim. Pękły stalowe kajdany przeszło wiekowej niewoli zaborczej, rosły serca radości i jaśniały oczy żołnierzy, którzy wyszli z baraków w kilku grupach na oczyszczenie ko-

szar z brudu żołdactwa pruskiego. Grupy w składzie 10 do 15 osób pod dowództwem podoficerów czy nawet szeregowców były Armii Niemieckiej, nietęgo uzbrojeni, wyszli do poszczególnych bloków, by je opanować. Pamiętam ten moment, kiedy byłem na zbiorze 8. Kompanii przy rozdziale jeszcze wtedy niemieckich żołnierzy do prac koszarowych, który nie został już dokonany. Niemcom włosy na głowach dębem stanęły i rozbiegli się w wielkim strachu na kwatery. Potulni jak nigdy przedtem – strach na cudzej ziemi zawsze ma duże oczy. Całe koszary zostały zdobyte bez żadnego oporu, prawie momentalnie, a Niemcy po uzyskaniu przepustek w przestraszeniu wiali do Heimatu [stron rodzinnych].

W koszarach przystąpiono do porządkowania obiektów i zabezpieczenia mienia w każdej postaci. Wzmógł się napływ ochotników do szeregów odradzającego się Wojska Polskiego – ja też się włączyłem – moja rola, jaką mi chłopcy z baraku powierzyli, się zakończyła, i to w przekonaniu, że ten „Rotzjunge [smarkacz] wypełnił swoje obowiązki malutkie, ale niemniej szczerze.

W pracach organizowania zamachu zbrojnego na Niemców brały udział następujące osoby: Alojzy Nowak, Władysław Wiewiórowski, Kazimierz Grudzielski, Józef Trawiński, Jan Bartkowiak – więcej nazwisk nie pamiętam.

Po opanowaniu koszar i miasta nastąpiła niesamowita radość. Powywieszano flagi o barwach narodowych, zdzierano ślady zaborcze, godła niemieckie z gmachów urzędów. Jakaś grupa młodzieży, prawdopodobnie harcerzy, strąciła z cokołu głowę Bismarcka [być może Wilhelma], a następnie młodsza brać obojga płci postument ten obwiązała linkami i z dziecięcym śpiewem ciągnęła ulicą Miłostawską na dół do Wrześnicy, gdzie go utopiła. Przyspiewką tą była ad hoc sklecona „Widzisz ty, Wilusiu, jak cię diabli wzięli, do Holandii idzie, kijem się podpięra...”

W Powstaniu Wlkp. we Wrześni byłem do końca pierwszej dekady stycznia 1919 r., potem wstąpiłem do organizującego się 1. Pułku Artylerii Polowej i zostałem przydzielony do 3. Baterii, która była na froncie północnym w okolicy Keyni do marca 1920 r., to jest do czasu zajęcia terenów aż do Bałtyku.

Powyższe opracowanie wykonałem na zlecenie Kółka Historycznego przy Zarządzie Oddziału ZBoWiD we Wrześni dla wyluskania materiału do historii Powstania Wielkopolskiego z działalności Batalionu Wrzesińskiego na okoliczność zbliżającej się 40 rocznicy.

Wrzesnia, dnia 10 sierpnia 1958 r.

Władysław Kubiak